

Psychoza jako choroba? – trwale istotne doświadczenia z psychotycznych przeżyć

*Jeśli chcesz coś wiedzieć o szerszeniach,
to spytaj ukąszonych*
(przysłowie sufi)

Chciałabym dać jednoznacznie twierdzącą odpowiedź na pytanie, czy psychoza jest chorobą. Nie wierzę jednak w chorobę spowodowaną psychoorganicznie, czy nawet dziedzicznie.

Podobnie jak np. obniżenie temperatury ciała może spowodować przeziębienie, przeciąg zapalenie tkanki łącznej albo zanieczyszczenie rany zatrucie krwi, kryzys życiowy, nierozwiązywalny konflikt z perspektywy osoby dotkniętej, może wywołać zmiany metabolizmu w mózgu, a przez to psychozę.

Moim zdaniem głębokie psychiczne zranienie przez osoby bardzo bliskie, od których by się tego nigdy nie oczekiwało, czyli konflikt, w którym nie można ani racjonalnie ani emocjonalnie pojąć i przepracować zachowania innych, prowadzi do tego, że myśli krążą w kółko, nie można ich przerwać i w końcu szuka się i znajduje najbardziej absurdalne wyjaśnienia niezrozumiałych dla nas zachowań i czynów drugiego, co doprowadza do zmian metabolizmu mózgu i umocnienia przeżyć psychotycznych.

A więc nie psychoorganicznie spowodowana zmiana metabolizmu mózgowego doprowadza do psychozy, tylko nierozwiązywalny i głęboko raniący dla osoby dotkniętej konflikt doprowadza do zmian metabolizmu mózgu i tym samym do przeżyć psychotycznych.

Wiem, że część chorujących nie określa swoich psychoz jako choroby. Myślę, że składa się na to wiele przyczyn.

1. Chorzy z reguły zdają sobie bardzo dobrze sprawę z wywołującego konfliktu i rozumieją swoje myślenie i działania psychotyczne jako poszukiwanie przyczyn i usprawiedliwioną obronę przed czynioną im niesprawiedliwością.
2. Przeżycia z okresu psychozy wydają się zacierać wraz z upływem czasu. Wielkościowe spostrzeżenia, jak np. nigdy wcześniej nie odczuwanego bogactwa kolorów i piękna natury, nieskończonej prędkości, z jaką zachodzą procesy poznawcze, a nawet uzdolnienia profetyczne, pozostają we wspomnieniach, podczas gdy przeżycia i działania negatywne, jak np. bycia wydanym na zagrożenia, w których pokonanie się wprawdzie wierzy, bo jest się tak silnym i wszystko się potrafi, niezwykła niecierpliwość, którą denerwuje się otoczenie, bo się jest samemu tak szybkim i nie pojmuje się, czemu inni tak szybko nie reagują, wynikające stąd werbalne lub czynne ataki na ludzi, którzy właściwie nic nie mają do pierwotnego konfliktu, często nawet na ludzi obdarzanych dużym zaufaniem, przez których czuje się zdradzonym, gdyż wierzy się, że chcą nas wykończyć, bo wyczekiwana pomoc i wsparcie z ich strony nie jest wystarczające lub nie przychodzi na czas, zamiana własnego mieszkania w pole bitwy w poszukiwaniu

odpowiedzi, których nikt nie udziela itd., są jawnie odreagowane albo wypierane.

Wierzę, że takie selektywne wspomnianie przeżyć psychotycznych ma też coś z tym wspólnego, że nikt nie ma odwagi, by otwarcie i uczciwie mówić z chorymi o negatywnych zjawiskach towarzyszących ich psychozie. W ogóle o pozytywnych, jak i o negatywnych treściach psychozy mówi się o wiele za mało. Gdyby szczególnie profesjonaliści robili to częściej, jako rutynowy składnik ich anamnezy, to leczenie i terapia przebiegałyby całkiem inaczej, niż dzieje się to obecnie. Treści psychotyczne mają bowiem bardzo wiele wspólnego z wywołującym konflikt kryzysem, a także z innymi porównywalnymi nieprzewyciężonymi konfliktami z przeszłości. Tak jest przynajmniej w moim przypadku i wiem to również od innych osób dotkniętych psychiatrą.

Swoją pierwszą psychozę miałam w roku 1986 w wieku 38 lat. Chciałabym opowiedzieć tylko skrótowo o niej i o jej powstaniu.

Jako optyk z zawodu nadrabiałam maturę, studiując przedmioty ekonomiczne i historię, zaliczyłam pozytywnie praktykę i byłam przy końcu „specjalnej drogi Nadrenii-Westfalii” do zdobywania wykształconych sił w zawodach pokrewnych, w których z powodu braku oferty nie da się uzyskać uprawnień zawodowych drogą ukończenia studiów wyższych. Aby uzyskać uprawnienia do nauki teorii zawodowej w optyce okulistycznej, musiałam w ciągu półtora roku złożyć egzaminy mistrzowskie w dziedzinie rzemiosła optycznego – przebieg szkolenia zawodowego w tej dziedzinie trwa właściwie 3 lata. RP nie wypełnił żadnego ze swoich zadań w terminie, nie mógł nawet zorganizować egzaminu końcowego. To z mojej inicjatywy cech znalazł termin egzaminu w grupie kończących naukę w Münster, a RP zaakceptował ten termin. Jedynym hakiem w całej sprawie było to, że egzaminy pisemne były wprawdzie wyznaczone jeszcze w trakcie mojej umowy o pracę, ale ustne już nie. Moja umowa wygasła w ostatnim dniu szkoły przed wakacjami letnimi, a egzamin ustny odbywał się dopiero 3 tygodnie po wakacjach. W tym czasie miałam 8 przedłużających umów o pracę, a w każdej pisano, że

przejęcie przez szkolnictwo nie jest możliwe i że muszę zwrócić pensje z ostatnich 22 miesięcy, jeśli nie przedłożę w ciągu 14 dni świadectwa zdanych egzaminów.

Byłam jednocześnie honorowo okręgową przewodniczącą Grupy Roboczej Kobiet Socjaldemokratycznych i członkiem zarządu okręgowego SPD, gdzie sama byłam odpowiedzialna jako przewodnicząca Komisji Równouprawnienia i przewodnicząca komisji opracowującej nowy program ramowy przygotowujący wystąpienia z okręgu, konieczne dyskusje w forach i komisjach. W okręgu SPD Wschodniej Westfalii-Lippe odbywała się w tym czasie zmiana pokoleniowa i musiałam przeżywać wybuch oportunistu u moich dawnych towarzyszek i towarzyszy walki. Wiem dzisiaj, że znajdowałam się w sytuacji konkurencyjnej, wtedy sobie tego jasno nie uświadamiałam. Zdarzała się jawna zazdrość o dobre wyniki pracy w obszarach, za które byłam odpowiedzialna. W każdym razie (dawni) przyjaciele i przyjaciółki usiłowali wszystko utrudnić. Gdyby mnie tylko ktoś spytał, czy chcę tę czy tamtą pozycję, odpowiedziałabym, że to wszystko w tym momencie nie wchodzi w grę, ponieważ moja podjęta szczególnie środkami umowa o pracę zobowiązuje mnie do efektywnego zamknięcia szczególnych środków na dalsze 5 lat w szkolnictwie landu Nadrenia-Westfalia. Moi przyjaciele i przyjaciółki prawdopodobnie nie potrafili sobie wyobrazić, że ktoś walczy rzeczywiście tylko w jakiejś sprawie i że nie kryją się za tym żadne osobiste ambicje objęcia jakiegoś stołka. Jedynym, z którym w tamtych czasach mogłam jeszcze otwarcie rozmawiać, i który podzielał moje analizy, był towarzysz – będę go dalej nazywać Henryk – który przed kilku laty miał niedobłą rozgrywkę z partią i któremu po wykluczeniu dopiero od niedawna wolno było wrócić na łono partii.

Aby się spokojnie przygotować do mistrzowskiego egzaminu ustnego z optyki okulistycznej i opracować dokumentację dla obu wyznaczonych komisji, przyjąłabym ofertę zaprzyjaźnionej posłanki do sejmu – będę ją dalej nazywać Katrin – i obładowana potrzebną literaturą fachową przenieśliśmy się do jej mieszkania w Bonn, które w okresie przerwy parlamentarnej stało puste.

Zaczęło się od tego, że miałam uczucie, iż mieszkanie zostało dla mnie szczególnie udekorowane. Mieszkanie znałam bardzo dobrze, bo mieszkałam tam także podczas trzech sześciotygodniowych seminariów blokowych w kołońskim głównym centrum kształcenia ZVA.

W kuchni stały 2 czerwone filiżanki, 2 czerwone talerze i 2 czerwone kubki na jaja, nad łóżkiem umieszczono regał, w którym znajdowały się podstawowe programy partii od Eisenach do projektu Irrsee, a także pozostała znacząca programowo literatura fachowa. Żadnej z tych rzeczy nie było wcześniej w mieszkaniu. Wskutek tego uwierzyłam, że Katrin chciała w ten sposób uknuć jakąś intrygę nawiązującą do mnie i do Henryka. Wiedziała, że my oboje dobrze się rozumieliśmy i w sporach politycznych opowiadała się po lewej stronie w naszym okręgu i po naszej. Poza tym zaproponowałam kiedyś Henrykowi w jej obecności, że moglibyśmy pojechać razem na „ranczo” Uschi do Erlangen, żeby wyjaśnić niektóre rzeczy między lewicującymi w partii, na co jednak Henryk nie wyraził zgody zasłaniając się brakiem czasu.

Kiedy po rozpakowaniu rzeczy wyszłam do supermarketu w sąsiedztwie, uwierzyłam, że widzę Henryka w jego aucie na poboczu, ale zachowałam się tak, jakbym tego nie spostrzegła, gdyż pomyślałam: „Ty głupku, jeśli chcesz mi zrobić niespodziankę, to możesz zadzwonić do drzwi, jak będę znowu w mieszkaniu”.

Wieczorem zadzwoniłam do Henryka i przedyskutowaliśmy stan debaty programowej oraz nowinki z rejonu. Nie opowiadałam nic o dziwnych wydarzeniach, których byłam świadkiem, i pomyślałam, że musiałam się pomylić, bo Henryk był uchwytany telefonicznie w domu.

Zabrałam się potem za naukę do egzaminów i poszłam dość późno względnie wyczerpana do łóżka. W pewnym momencie obudziłam się w środku nocy i wydawało mi się, że słyszę spór między Henrykiem a Katrin. Otworzyłam drzwi do mieszkania i nie widząc na zewnątrz nikogo, pomyślałam – „to ci się tylko śniło”.

Kiedy następnego dnia rano wychodziłam z domu, sądziłam, że widziałam parę osób z Jusolewicowców. Nie było ich jednak widać, gdy skręciłam za róg ulicy, żeby za nimi popatrzeć,

znalazłam za to namalowane na ścianie wiaty autobusowej powiedzenie – „kraj potrzebuje nowych mężczyzn”. Wszyscy znamy te malowidła na ścianach domów, w przejściach podziemnych, etc. Tego przedpołudnia wierzyłam jednak, że te powiedzenia zostały tam napisane imieniem do mnie, towarzyszki z Jusolewicowców bawili się ze mną w rodzaj polowania. Śledziłam napisy godzinami przez pół Bad Godesberg, w końcu pojechałam koleją do Kolonii i zamówiłam sobie tam w restauracji pizzę.

Czekając na jedzenie słyszałam oczywiście fragmenty rozmów dochodzące od sąsiednich stolików. To co słyszałam, dawało mi wrażenie, że wszyscy ludzie mówią o sprawach, które w poprzedni wieczór omawiałam z Henrykiem. Kiedy w końcu dostałam pizzę, straciłam całkowicie apetyt. Czwierć pizzy wdusiłam w siebie w najczystszy znaczeniu tego słowa, resztę kazałam sobie zapakować.

Pojechałam z powrotem do Bad Godesberg i znowu miałam wrażenie jakbym była prześladowana przez diabła napisami na ścianach. Wylądowałam w końcu na dużej kolorowej łące pełnej kwiatów. Nigdy jeszcze w życiu nie widziałam tak wspaniałych kolorów, takiej różnorodności motyli nigdy nie spotkałam. Ptaki śpiewały tak wspaniale. I w tym momencie myślałam, że wszystko jedno, kto jest za to odpowiedzialny, Kochany Bóg czy Matka Natura, dobrze, że jest tak, jak jest. Trzeba wiedzieć, że w tamtym czasie rozpoczynała się debata nad technologiami geno- i biologicznymi, a my również w ramach dyskusji nad nowym programem ramowym spieraliśmy się o wybór właściwej drogi. Już przed tym przeżyciem stałam na stanowisku, że powinno się pozostawić w spokoju jądro komórkowe i że ryzyko, jeśli się tego nie zrobi, jest o wiele większe i ma poważniejsze konsekwencje niż w przypadku rozszczepienia i fuzji jądra atomowego w zakresie energii atomowej. Teraz jednak byłam tego całkowicie pewna. Człowiek nie powinien wywyższać się do roli stwórcy.

Po dokonaniu tego odkrycia zjadłam z dużym zadowoleniem zimną pizzę i udałam się w drogę do domu. Po drodze kupiłam na straganie warzywnym jeszcze kilo fasoli. Po powrocie

do mieszkania Katrin wyjęłam jeszcze raz projekt Irrsee. Miałam jakoś wrażenie, jakby zeszyt został wymieniony, w wielu miejscach było coś zupełnie innego, niż pamiętałam. Jeszcze raz sprawdziłam miejsca przeze mnie podkreślone i moje uwagi. Nadal wydawało mi się, że coś się nie zgadza. To nie był mój egzemplarz, byłam o tym najgłębiej przekonana. Zatelefonowałam do kilku kobiet z komisji federalnej ASF. Jedna towarzyszka powiedziała: „Jesteś w partii przeznaczona do wyższych pozycji i chcesz zostać urzędnikiem według Twojego nadzwyczajnej ustawy i dlatego jesteś teraz jeszcze w Bonn”. To że lewicujących w partii z K14 szpiclowano wiedzieliśmy wszyscy, jak również to, że lewicowcy podpadali w partii pod zwalnianie radykałów, czyli musieli się liczyć z zakazem pracy. Zwalnianie radykałów wprawdzie tymczasem uchylono, ale teraz usiłowano utrzymać z dala od służby publicznej ten sam krąg osób poprzez ocenę egzaminacyjną lub inne mechanizmy.

Po tych rozmowach kontynuowałam pracę nad moim stanowiskiem do Nowego Programu Ramowego przy lampce czerwonego wina. Zrobiło się dość późno, kiedy wydarzyło się coś, o czym nie wiem, czy umiem to tak opisać, żeby inni ludzie, którzy nie mają doświadczenia psychozy, potrafili to pojąć. Usłyszałam niezwykle hałas, tupot, jakby grupa starych upośledzonych ruchowo ludzi opierając się na laskach wmaszerowała przed drzwi mieszkania i wiedziałam - nie wiem skąd - że jest to Karol Marks, Fryderyk Engels, August Bebel, Clara Zetkin i Engelbert Schönfeld. Wiedziałam jednocześnie, że oni nie stają przed drzwiami, lecz są wszyscy we mnie. A stąd była pewność: „Zrobiliście to już dawno temu! Jestem koktajlem z genów! Moi rodzice nie są moimi rodzicami!” To było straszne. A przy tym była druga pewność: „Nie zróbicie tego nigdy żadnemu człowiekowi! To jest faszyzm! Człowiek musi wiedzieć, skąd pochodzi”.

Byłam po tym tak wyczerpana, że spałam głęboko aż do następnego poranka. Obudziłam się zlaną potem. Po wzięciu prysznicą zrobiłam sobie śniadanie, ale nic nie mogłam jeść, po wszystkim, co chciałam zjeść, zaczynałam się dusić, miałam nieprzyjemny smak i niezwykle suchość w ustach. Spojrzałam w lustro i wycią-

gnęłam język: był w kolorze brązowo-czarnym. Sądziłam, że ktoś zatrul moje jedzenie, gdy spałam. Poszłam do supermarketu i kupiłam nowe artykuły spożywcze. Po powrocie do mieszkania zjadłam je ze smakiem. Przez kilka godzin pracowałam, a potem pomyślałam, że jest czas na spacer, żeby nabrać nowych sił.

Po powrocie ze spaceru zrobiłam sobie coś do jedzenia i poczułam znowu zły smak i suchość w ustach, znowu język z brązowo-czarnymi wykwitami. Poszłam znowu do supermarketu, kupiłam nowe jedzenie i spożyłam je z zadowoleniem.

Potem pomyślałam, że muszę przeszukać mieszkanie. Byłam mocno przekonana o tym, że ktoś chce mnie otruć. Albo ktoś pod moją nieobecność był w mieszkaniu i zepsuł artykuły spożywcze i papierosy. Za tym przemawiało również to, że wierzyłam, iż stale znajduję zmienione egzemplarze projektu Irrsee, albo w jakiś inny sposób trucizny dostawały się do pożywienia, ponieważ wszystko, co leżało w mieszkaniu nie obserwowane przeze mnie, stawało się dla mnie niejadalne. Od teraz stale zamykałam drzwi balkonowe i wszystkie okna opuszczając mieszkanie. Nic się nie zmieniło. W końcu znalazłam we flizach ściennych w łazience trzy wywiercone dziurki. Przez nie można było wpuszczać do mieszkania jakieś gazy, ale stałego wymieniania książek nie dało się wyjaśnić tym sposobem.

W następnym telefonie do Henryka opowiedziałam mu, jakie dziwne rzeczy dzieją się w bońskim mieszkaniu Katrin. Nie wspomniałam o przyjsciu Marksa i Engelsa. Mówię o tym po raz pierwszy w tym wystąpieniu. Coś podobnego zdarzyło mi się jeszcze w roku 1990 z Engelbertem Schönfeldem, zwanym Engelsem z Herford. Również o tym nikomu nie mówiłam, gdyż myślałam, jeśli o tym opowiesz, to wszyscy będą cię ostatecznie uważać za wariatkę. Powiedziałam dalej Henrykowi, że znalazłam środki i sposoby, aby dowieść, czy książka była wymieniona, czy nie. On w to nie bardzo wierzył i powiedział: „Jeśli mężczyzna tego nie potrafi, to potrafi to kobieta. Nie wyjaśnię ci tego przez telefon, bo wiesz, wróg podsłuchuje”. Po tej rozmowie żadna książka nie została już wymieniona.

Na miejscach, których jeszcze nie opracowałam - odcinki opracowane były rozpoznawalne dzięki podkreśleniom i uwagom na marginesach - postawiłam maleńkie znaki.

Stwierdziłam potem, że wszystko, co kiedyś opowiedziałam przez telefon, już się więcej nie zdarzało.

Ostatnie zdarzenie, o którym chciałam błyskawicznie opowiedzieć, wiąże się z tym, że przed kilku laty wypróżniono mi w Związku Radzieckim ręczną torebkę: kalendarz z terminami i adresami, dowód osobisty, kartę euroczekową, zeszyt euroczeków, zdjęcia rodzinne, moje zdjęcia paszportowe, moje ulubione okulary przeciwsłoneczne, mały aparat fotograficzny i całość gotówki. Zawsze mówiłam, że ktoś o podobnym do mnie wyglądzie mógł z tym, co zostało skradzione, iść do niemieckiego konsulatu i powiedzieć, że mu skradziono paszport, a potem z moimi papierami opuścić kraj. Dobrze było tylko to, że w swoim czasie trzeba było

oddawać paszport w hotelu, w przeciwnym razie nie wyjechałabym prawdopodobnie ze Związku Radzieckiego. Opowiadam tę historię tylko z tego powodu, że pewnego dnia odkryłam podczas święta nad Renem kobietę, która nosiła moje ulubione okulary przeciwsłoneczne i wyglądała prawie dokładnie tak, jak ja. Natychmiast wszystko stało się dla mnie jasne. Ktoś wyjechał z moimi skradzionymi papierami i teraz były dwie Ruth Fricke, z których jedna musiała zniknąć. A tą, która musiała zniknąć, byłam ja.

Henryk i dwóch innych przyjaciół wyciągnęli mnie potem po ok. 14 dniach z mieszkania i zawieźli do domu. Nie byłam wtedy w klinice psychiatrycznej, tylko lekarz z centrum psychosocjalnego odwiedzał mnie dwa razy w tygodniu w domu i zaopatrywał mnie w leki. Pod koniec letnich wakacji byłam znowu w dobrej formie i mogłam podjąć nauczanie, bez jednego dnia zwolnienia lekarskiego.